

arnold cytrowski



anhedonia



arnold cytrowski

anhedonia

CIEŃ WIELKIEJ GÓRY

Wrocław, sierpień 1994 roku

Artur

Spoglądam na atrakcyjną buzię. Nad atrakcyjną buzią atrakcyjnie spięte włosy, wysoki kok koloru blond. Na kremowym żakiecie, który beczelnie okrywa atrakcyjne ciało, wisi plakietka, pewnie z imieniem, które mam w dupie. Błyskam białym zębem spod płowych wąsów, poprawiam się, prostuję; nie powiem, że instynktownie, bo prostuję się celowo, i gdy się tak prostuję – na pełną wysokość dwóch metrów i dwóch centymetrów – szeleści moja kurtka Chicago Bulls, wydaje dźwięk ortalionu.

Kobieta mnie zauważa. Łapiemy kontakt wzrokowy, jej ciemne oczy zbiegają się z moim okiem, jedynym, jasnym jak bramy piotrowe. Jest zakłopotana, spodziewałem się tego, kręci mnie to niemożliwie, toteż wwiercam w nią wzrok swój beczelnie, ona speszony swój odwraca, popraw mnie: opuszcza. Mały chłopiec w środku protestuje, a bestia wyje do księżyca. Nachylam się. Żuję gumę miętową Orbit, oddech zapachu oceanicznej bryzy, odór ciała maskowany odorem perfum *L'Eau d'Issey*.

Roztaczam aurę chemicznej świeżości.

– Ja na spotkanie z doktorem – mówię bez zbędnej grzeczności, bo tego nie chcę, nie potrzebuję.

Recepcjonistkę widzę i spotykam po raz pierwszy, zapewne z wzajemnością, ale ona na to nic: nie pyta o imię, o nazwisko nie pyta, o cokolwiek, o co mogłaby spytać, nie pyta. Zepchnięta do narożnika obja się o liny, gdzie walczy ze swoim pożądaniem, wstyd wdrukowany do jaźni uniemożliwia podjęcie pokusy, którą oferuję całym sobą.

– Doktor jest w gabinecie – odpowiada zdawkowo, policzki jej czerwienieją, zgrabne usta mamrocą kulawe sylaby, chcąc brzmieć wyraźnie, lecz nie mogą, bo nie są w stanie zadziałać na rozkaz.

– Jasna sprawa – mówię niedbale, od niechcenia, a ona dalej wgąpią w bok, sztywna jak nieboszczyk, z dębu strugana dębowa kukła.

Mały chłopczyk, który powinien być martwy, gra na małym blaszanym bębenku i każe odpuścić, wielka zaś bestia warczy, gotowa do skoku. Bębnię palcami o blat martwego stolika, martwy stolik beczelnie oddziela moje żywe ciało od jej żywego ciała, czekam jeszcze chwilę, zawieszam napięcie, dziewczyna tematu nie podejmuje, jej strata. Udaję się w stronę gabinetu i nim zdążę w siebie zwątpić, nim krew zastygnie w krwionośnych naczyniach, nim zaszeleści ortalionowa kurtka z logo chicagowskiego byka, słyszę:

– Też kibicuje Bullsom. – Recepcjonistka obniża głos, bo chce być heroiną, lecz jest nikim, pracownikiem biurowym, pyłem marnym. Widać od razu, że Bullsom nie kibicuje, że co najwyżej do obiadu obejrzała „Hej, hej, tu NBA!”, że redaktor Szaranowicz uraczył ją barwnym komentarzem raz jeden czy drugi, ale to wszystko. Spróbowała, biedna, ale ona nie wie, że ja ją tak dla zabawy, dla sportu, a sport to przecież zdrowie.

Uśmiecham się na zachętę. Płowy obfity wás ukrywa pogardę, tak jak wcześniej podkreślał uśmiech. Puszczam

oczko, bez zobowiązania. Mały chłopczyk milknie pokonany; bestia śpiewa, tańczy i wyje do światła księżyca.

W końcu stoję przed gabinetem. Na wysokości brody, na brązowych drzwiach wyrzeźbioną złotą czcionką litery:

Dr n. med. Stanisław Korycki, psychiatra.

Pociągam za równie złotą klamkę.



Doktor nauk medycznych Stanisław Korycki, psychiatra, zaprasza mnie na kozetkę, kozetka ustawiona tuż obok niego, jej tapicerka jak z Rynkowskiego, w kolorze brąz. Wertują mnie równie brązowe oczy zza brązowych oprawek okularów. Szkła, oczywiście, przyciemniane, by nie powiedzieć: brązowe. Brązowe są także spodnie doktora nauk medycznych, brązowe skarpety na jego stopach i brązowe góralskie kapcie na skarpetach, brązowe jest biurko, przy którym siedzi, brązowe jak gówno w jego dupie i wszystko w tym samym gównianym kolorze. Wy różnia się za to koszula gospodarza, o zapachu Perwollu, wyprasowana w kant.

Śnieżnobiała.

Siadam sztywno i przedstawiam się dumnie, jak zawsze się przedstawiam.

– Król Artur – mówię, na co doktor przytakuje. Notowania mu leżą na łeb na szyję, bo mnie nie słucha, a ja tego nie znoszę, wręcz nie toleruję. Podajemy sobie ręce. Jego wątłą mógłąbym ścisnąć jak imadło, lecz nie muszę. Wystarczy mi świadomość. – Rozmawialiśmy przedwczoraj.

Chyba przedwczoraj.

Mężczyzna przytakuje, a ja zdaję sobie sprawę, że imię, które nadała mu matka, czy nazwisko, które odziedziczył po ojcu, zupełnie się nie liczą, że znaczenie ma tylko tytuł

doktora nauk medycznych, a także nobilitowany zawód psychiatry. Zastanawiam się, kim był, nim doczłapał się tyłu złotych liter i przed imieniem, i po nazwisku, i wiem, że był nikim. Z nienawiści, która we mnie wezbrała, biorę głębszy wdech.

On, naturalnie, tego nie zauważa.

– Jasne, proszę pana – mówi do mnie jak do numerka w poczekalni, a numerkiem w poczekalni nie jestem. – Co pana sprowadza?

Czekam chwilę, milczę. Jako bóg okrutny, choć łaskawy, daję mu szansę. Może zrozumie, z kim ma do czynienia. Raczy mnie w końcu spojrzeniem. Na jego gównianobrazowych tęczęwkach tańczy moja lustrzana podobizna. Nachylam się więc ku Koryckiemu, by przyjrzeć się samemu sobie, ujrzeć to, co i on musiał widzieć. Uśmiecham się tak paskudnie, jak to tylko możliwe.

Milczymy więc. Milczę ja i milczy doktor nauk medycznych. Obserwujemy Artura Króla, obserwujemy tak długo, aż tamten, to jest Korycki, nie mrugnie.

– Pan od Kolikowskiego – domyśla się.

– Od siebie. – Zaznaczam teren jak pies, bo przybyłem tu z własnej woli i z własnej decyzji.

– Kolikowski tylko mi pana polecił.

– Rozumiem. Niech pan się nie martwi. Sława pana wyprzedza. Pan Kolikowski po prostu wspominał, że może się pan pojawić niezapowiedzianie. – Psychiatra uśmiecha się, poprawia okulary. – Niezmiennie, pytanie zostało zadane: co pana do mnie sprowadza, panie Król?

Otóż to. Co mnie tutaj sprowadza? Przeliykam ślinę, choć wolałbym tego nie robić, pokonuje mnie fizjologia stresu.

– Mam problem – wyznaję na głos. Brzmi to jak kiepski pomysł, katastrofa zawieszona w powietrzu. Przysmykam powieki i odświeżam zwątpienie, które w sobie zasiałem.

– Chrystusie Niebieski, mam problem – powtarzam za ojcem, którego tu nie ma, sięgam do kieszeni kurtki, chwytam stalową papierośnicę, z papierośnicy wydaję papieros marki Marlboro, a tabletkę metylenodiodksymetamfetaminy marki podziemnej, którą rozgryzam, bez popijania pochłaniam ekstazę. Po ścianach gardła spływa gorycz, która mnie wkrótce uwolni. – Mam problem, o którym muszę komuś opowiedzieć.

Zaczynam się bać. Bestia zatańczyła na glinianych nogach, budząc małego chłopca. Gówniarz wrzeszczy jak opętany, ryczy potwornie, nadrabia lata świętego milczenia. Jąkam się, lecz mówię dalej:

– Chcę spróbować obdarzyć cię zaufaniem. – Zerkam na niego spode łba. – A bez tego... tej tabletki, kurwa, nie zdołam.

Na Koryckim obraz naocznej narkomanii nie robi wrażenia, nic w tym dziwnego. Jest popularnym terapeutą plugawego półświatka, lekarzem bandytów, celebrytów, wojskowych, polityków oraz duchowieństwa. Niejedno przecież widział, a słyszał jeszcze więcej. Spogląda tylko na zegarek, złoty na brązowym pasku, i wzdycha lekko, jakby wiedział, że uczciwi ludzie, którzy uczciwie czekają w kolejce, poczekają jeszcze trochę.

Ale to przecież nic nowego.

– W takim razie zacznijmy jak zwykle – mówi, radzi właściwie.

– To znaczy? – dopytuję, choć przecież wiem, domyślałem się, bystry jestem.

Na ustach Koryckiego zagościł błady uśmiech.

– To znaczy: od początku.

– Od początku – powtarzam za nim głucho. – Niech będzie.

Układam ciało na brązowej kanapie, na której ledwo się mieszczę. Zaciskam powieki. Napotykam ciemność,

która mnie wsysa. Zanurzony w jej czeluściach nabieram powietrza. Rozszerzam nozdra, wdycham w siebie zew pomieszczenia, uderza mnie smród wypalonego tytoniu.

Wracam do przeszłości.



Radwanice, sierpień 1975 roku

Mam na imię Artur, dzisiejszego dnia kończę szósty rok życia, z czego jestem niesamowicie dumny. Jadę z tyłu fiata 126p wyprodukowanego kilka miesięcy temu na Żeraniu. Lakier malucha jeszcze świeży – a technicznie rzecz biorąc – to matowy niebieski. Trzynastocalowe koła suną po nierównej powierzchni, auto podskakuje po leśnej drodze, za oknami przepływa ocean drzew, a ja wzrokiem pochłaniam zieloną smugę. Na kolanach trzymam metalowego resoraka, urodzinowy prezent. Nadwozie zabawki błyszczy czerwienią tak jaskrawą, że aż razi, poraża, uderza po moich tęczówkach. Długo o tej czerwieni myślę, choć myśli moje pozbawione są słów.

Staram się odnaleźć siebie, przypomnieć sobie, jak postrzegałem świat, gdy byłem dzieckiem, i chyba już wiem, choć wszystko to mgliste, zatarte, albo to umysł dziecka jest mglisty, zatarty, niejasny. Znam mnóstwo barw, choć niewiele słów, mnóstwo kolorów, choć niewiele zdań, mnóstwo plam, choć niewiele konturów. Opisuję wszystko z perspektywy czasu, z perspektywy doświadczenia, z perspektywy życia, które upłynęło. Jestem we wspomnieniu – albo i nawet sam tym wspomnieniem jestem.

Za kierownicą mężczyzna w niebieskiej koszuli. Ręka wy ma zaciągnięte za łokcie, na zakładkę, twarz skupioną, policzki pokryte zarostem, szorstkie jak papier ścierny,

oczy zupełnie jasne, jak moje, a raczej moje zupełnie jasne, jak jego. Nazywam go tatą, tatkiem, ojczulkiem lub ojcem, choć inni nazywają go Karolem, Karolkiem, Królem, Królewiczem, Krółątkiem, czasem nawet Chujem Zastranym – tego ostatniego na razie nie wiem, bo nie mam prawa wiedzieć. Patrzę na niego przez wsteczne lusterko, przez to wsteczne lusterko widzę, że i on patrzy na mnie, jego spojrzenie jest zmęczone, pełne emocji, które wyczuwam, a których nie potrafię jeszcze nazwać, chociaż babcia uważa, że jestem bystry.

Na fotelu pasażera siedzi inny mężczyzna, w koszuli również niebieskiej, rękawy koszuli wyprasowane w kant, jak do kościoła. Twarz stara, zmarszczona, bez zarostu, oczy ciemne, jak nie moje, ale jak u mamy. Mówią na niego Karol lub Towarzysz Wspaniały, ja natomiast nazywam go dziadkiem lub dziadzią, gdzie sam preferuję raczej to pierwsze, on raczej to drugie. Oczu dziadka, tak różnych od oczu taty, nie widzę. Widzę za to, choć nie rozumiem, że milczą, odseparowani od siebie czym tylko się da, że zrządzeniem losu połączyła ich kobieta imieniem Karolina, kiedyś Wspaniała, teraz Królowa, jednemu córka, drugiemu żona, dla mnie matka, właściwie mama. W innym wypadku żaden z nich nie znalazłby się w aucie z tym drugim, wiedzą to doskonale, dlatego robią wszystko, by nie rozmawiać, przez co łączy ich jeszcze jedno: palą papierosy.

Dym wgryza się w tapicerkę, a ta cuchnie starym, samotnym domem, dym przesłania obraz, łzawi oczy, dym krztusi i dławi. Ale nie narzekam, nie mam na co. Właściwie to się cieszę, bo jedziemy na działkę, uwielbiam jeździć na działkę, i nie wiem, co bardziej lubię: czy samą działkę, czy jazdę, ale wiem za to, co lubię najbardziej. Ojciec sięga ręką do radia Safari, ścisza i przekręca potencjometr. Tranzystor wyje i pluje, rozdzielcza deska wylewa z siebie

Cień wielkiej góry. Utwór ten dudni na całą kabinę, Krzysztof Cugowski wokalem zagłusza ryk silnika.

Przestaję myśleć. Zatapiam się w melodii.

Jest gorąco.

Jak w piekle.



Wysiadamy niewiele później. Ojciec gasi papierosa stopą lewą, dziadek prawą, spoglądają w strony przeciwne, nie na siebie. Auto pozostawiamy tuż obok lotniskowego domu. Zaraz za nim rosną winogronowe krzewy, w które natychmiast wskakuję, zostawiam za sobą dorosłych i ich dorosłe sprawy. Oddaję się zabawie, prawdziwej, jedynej pasji. Czerwony resorak ożywa w moich dłoniach, wiedziony nimi rzeźbi koleiny w życiodajnej ziemi. Woła mnie dziadek, więc muszę przerwać, dziadek skrzeczy, głos ma potworny, lata doświadczeń w morderczych nalogach, dwuboju uzależnień, paleniu i piciu:

– Arturze. – Nie znosi sprzeciwu, dlatego idę, może nawet biegnę.

– Arturze – powtarza, nachyla się ku mnie, kładzie szorstkie dłonie na moich barkach. – Dziadek i tata mają coś do przegadania. Przejdź się nad rzekę – naciska głosem, podkreśla dłonią. – Pobaw się gdzieś, zajmij się sobą.

Kiwam głową na znak tego, że zrozumiałem, choć nie rozumiałem, że w czymś przeszkadzam, wołałbym być tutaj, taplać zabawkowe auto barwy czerwonej w głębie nawożonej gównem.

– I bądź grzecznym chłopcem – ciągnie nachylony nade mną Kazimierz. Spod koszuli dostrzegam krucyfiks, na krucyfiksie zarysowany szczegół: srebrzysty Pan Jezus nogami zaplątany w kępy siwych włosów piersiowej

klatki. Dziadka oddech cuchnie nie tyle tytoniem, co wódką, dziadek pokazuje palcem na słońce, promienie słońca zmieniają sierpień w karę boską. – I pamiętaj, że Pan Bóg patrzy na ciebie przez cały czas. Sprawuje nad tobą pieczę, ale tylko wtedy, gdy jesteś grzeczny. Pan Bóg karze niegrzecznych chłopców – zaznacza, a ja się boję. Nie pierwszy raz wystraszyłem się Stwórcy, którego dotąd nigdy, na szczęście, nie spotkałem.

Dzięki Bogu.

– To idź – poganiam mnie dziadek.

Idę więc, biegnę, bo nie chcę być grzesznikiem, biegnę, bo jestem zachłanny.

Chcę zasiąść u stołu Pana.



Jestem nad Odrą.

Rzeka rozlewa się na wały, przez które mknę jak monsun. Grząski grunt wsysa dziecinne stopy, z rozpędu nawet nie zauważam, kiedy gubię buty, były naprawdę słabo zawiązane. Ale pędzę, pędzę, sam nie wiem jak długo, jak daleko, nie wiem też, dlaczego tak pędzę, bo może faktycznie: w imię Pana. Nie myślę o niczym konkretnym i hasam do momentu, aż zauważę drzewo wessane korzeniami w nurt i nad tym nurtem zawieszone, pod samym drzewem zaś coś, co przykuwa moją uwagę. W cieniu gałęzi tańczy niezwykle blady, nagi mężczyzna o długich, spiętych w kok włosach, tańczy uparcie i tańczy namiętnie, jakby zatopiony w żywiole, wokół niego rozedrgane powietrze.

Zbliżam się, a gdy jestem naprawdę blisko, odczuwam niepokój. W uszach dudni szum wody, prócz tego nie słyszę zupełnie nic, nie brzęczy żaden owad, powietrze jest

nieruchome, ciężkie i martwe. Nie pamiętam, czy postanawiam iść dalej czy się przywitać, pewnie to pierwsze, jest piekielnie gorąco, nie pamiętam, coś zaciera przeźroczyste wspomnienia. W każdym razie, gdy przechodzę obok, męczyzna łypie na mnie wzrokiem i coś mi w tym wzroku nie pasuje, ale jestem tylko dzieckiem, które wystraszyło się grzechu, Pana Boga i dziadkowej ręki. Krew odpływa mi od głowy i od kończyn, stoję jak sparaliżowany. Najwolniej, jak tylko się da, odwzajemniam spojrzenie. W miejscu, w którym winna być twarz, widzę płamę, nic konkretnego, może to słońce, może cień, może...

Nie wiem.

Mrugam powiekami, za powiekami brakuje ciemności, nie brakuje za to czerwieni, czerwień jak z lakieru zabawkowego resoraka, czerwień wylewa się przez gałki oczne, gdy wreszcie je otwieram.

Nigdzie nie ma tańczącej postaci.

– *Myślę* – mówi głos, który do mnie nie należy, jest nad wyraz pierwotny, nad wyraz surowy, nad wyraz niski, dochodzi znikąd, z wnętrza mojej głowy – *że powinienes już wracać. Dziadek chce ci coś powiedzieć.*

Wzdrygam się, wrzeszczę, wypuszczam coś z ręki, gubię nieodżałowany, zabawkowy samochód, autko na zawsze i na wieczność pochłania Odra. Odwracam się i biegnę, biegnę wzdłuż rzeki, ziemia bosa stopy wsysa jak bagno, brnę przed siebie niezdarnie, aż w końcu upadam.

Ostre czerwone słońce wgryza się w potylicę, ja wgryziony zębami w błoto odpływam od zmysłów. Połykam wilgotny piasek, którym się dławię. Robi się ciemno i robi się zimno, w uszach dudni szum wody, woda jest czarna i lita, i woda ta mnie pochłania.

Tonę.



Nie utonąłem, bo budzi mnie zachód słońca. Leżę na wznak przy brzegu Odry, oddycham, głowa boli potworzenie, ale jestem żywy. Jestem też brudny, zmęczony i głodny, wystraszony tym, co ujrzałem pod wpływem upalnego słońca, lub tym, co ujrzałem naprawdę.

Wracam.

Wlokę się marnie z powrotem i długo schodzi mi droga, odszedłem bardzo daleko, więc bardzo długo też wracam. Idę zupełnie bez przerwy, aż zajdę pod letniskowy domek, pod domkiem nie ma naszego fiata.

Nieśmiało zaglądam do wnętrza letniaka. W środku pali się światło, kilka świec osadzonych przy ścianach, i jedna właściwa, urodzinowa, na urodzinowym, stopionym od ciepła torcie. Cień płomienia tańczy po twarzy jedynej tu osoby, twarzy dziadka, bo ojca nie ma. Dziadek siedzi nad białoczerwoną szachownicą ceraty, wpatrzony w ustawioną przed sobą szklanki, w szklanki nalano wódki, bo była ku temu okazja, szóste z moich urodzin.

Wchodzę bez słowa, bo chyba się boję, staram się przemknąć, naprawdę się boję kary, nie wołam o jedzenie, o picie, chcę tylko spokoju, i to świętego. Dziadek Kazimierz był na wielkiej wojnie, potem w obozie, spokoju nie chce i spokoju nie zna, łapie mnie za ramię i przysuwa do siebie.

– Gdzie byłeś, gówniarzu? Szukamy cię od kilku godzin. – Ogląda mnie nieprzytomnie, krytycznie. – Gdzie twoje buty? Twój nieszczęsny ojciec pojechał zadzwonić, po pomoc pojechał, milicja cię szuka! – woła i cuchnie gorzałą. – Co ci mówiłem przed wyjściem? – Wstaje od stołu, ciągnie mnie za ramię jak szmatę, jak szmata padam

na drewnianą podłogę, wzrokiem uciekam na zewnątrz, bo ciałem szmacianym uciec nie mogę. Na zewnątrz czerwone słońce rzuca czerwoną aurę na niewielki domek z czerwonym dachem, czerwień pada na winogronowe krzewy, krzewy goreją czerwienią, goreją też wpatrzone we mnie ciemne oczy, oczy jak u mamy.

– Dziadek jest chory, a ty go niepokoisz? Pamiętasz, co dziadek mówił o Panu Bogu? – Pod rozchełstaną koszulą na srebrnym krucyfiksie tańczy Pan Jezus. – Pamiętasz, co czyni grzesznikom? – dopytuje Kazimierz Wspaniały, dziadek, dziadzia.

Pamiętałem, dlatego wydobywam z siebie pisk, bo nie chcę tego, co zaraz nastąpi, bo widzę, jak ręka dziadka uezbraja się w pas, jak unosi się jego ramię, jak rośnie rozlana spod pachy plama potu. Odwracam głowę i czekam na karę, którą wymierzy mi Bóg być może sprawiedliwy, a na pewno surowy. Ale nic takiego nie następuje, bo następuje coś o wiele gorszego. Dziadek zatrzymuje się w połowie kroku, jego twarz zalewa się purpurą, starzec zatacza się w tył, pasek wypada z jego ręki, klamra uderza o podłogę, a dziadek o stół, rozrywa białą-czerwoną ceratę, mebel łamie się pod jego ciężarem, cerata tańczy w powietrzu, zwiewnie opada, nakrywa dziadkowy tułów jak całun, tort łąduje na jego twarzy, puszyste ciasto zakrywa jej rysy.

Ojciec mojej matki rzeźi, gubi oddech, wyciąga przed siebie ręce, wyciąga je w moją stronę, naczynia rogówki kreślą krwawą sieć, następnie pękają, ciemne oczy nachodzą czerwienią. Dziadek łypie na mnie wzrokiem szalonym, a jego pierś tańczy, walczy o oddech, tańczy i srebrzysty Chrystus, trzeba pomocy, lecz nikt nie pomoże, ja nie potrafię, bo jestem tu sam i mam sześć lat. Patrzę na śmiertelne ciało, z którego ulatnia się nieśmiertelny duch.

Podobno.

– Ty – mówi jeszcze Kazimierz, zaraz świętej pamięci.

Słyszę, widzę, jak porusza ustami, lecz usta zamierają, wreszcie milkną, jeszcze nie wiem, że na wieki wieków amen. Powinno być cicho, ale słyszę głos dziadka, głos, który się nie wydobył – głos, który rozdziera od wewnątrz moją głowę:

Wszystko przez ciebie.

Lepiej by było, gdybyś nigdy się nie narodził, ty mała kurwo.

Bardzo się boję tego, co usłyszałem, bo nie powinienem był tego usłyszeć. Po ostatnich słowach, które nie zostały przecież wypowiedziane przez jego usta, starzec wzdycha jeszcze, a potem umiera, mętnieją jego źrenice, zastyga ostatni na nich obraz, to jest: ja na nich zastygam.

W moich uszach rozbrzmiewa warkot silnika, ryk rozdziera śmiertelną ciszę, wtóruje mu chór męskich rozmów, tupot kilku par butów, a potem przekleństwo, które słyszę za sobą.

– Chrystusie Niebieski. – To ojciec. Odwracam się, oglądam na tatę, tata w towarzystwie dwóch mundurowych.

– Chryste Panie – mówi jeden, a drugi, choć komunista, przeżegna się w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Ojciec łapie mnie pod ramiona, tak jak niedawno łapał mnie dziadek, patrzy swoimi jasnymi oczami w moje jasne oczy i choć ust nie rozchyła, i nic nie mówi, wyraźnie słyszę, bo słyszę, jak myślą, a myślą:

Coś ty zrobił, ty mała kurwo?

A ja nie wiem, co zrobiłem, bo nic nie wiem.

Mam tylko sześć lat, choć babcia uważa, że jestem bystry.





SPIS TREŚCI

ZŁY ODSZEDŁ W OGNIU	3
RAMIĘ OPATRZNOŚCI	13
WIĘKSZY OD WŁASNEGO CIENIA	27
NAIWNE PYTANIA	37
TOYOTA PRZEPIĘKNA AŻ STRACH	41
PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ POZNAJE SIĘ W BIEDZIE	59
LOOKING FOR FREEDOM	69
PIERDOŁONY DZIEWIĘDZIESIĄTY I CZWARTY: I	81
CHWAŁA WIELKIEJ POLSCE	115
ŚRUBA W GŁOWIE AYRTONA SENNY	157
NIHIL NOVI	175
MAŁA ALEJA RÓŻ	197
NIENAWIDZĘ WARSZAWY Z CAŁEGO SERCA	227
PIERDOŁONY DZIEWIĘDZIESIĄTY I CZWARTY: II	237
STAWKA WIĘKSZA NIŻ ŻYCIE	247
NA FALOCHRONIE: I	269
MĄDROŚCI PANA COGITO	295
ANHEDONIA	339
BIAŁY KARZEŁ	361
CZERWONY OLBRYM	369
SWOJĄ BARKĘ POZOSTAWIAM NA BRZEGU	405
MAŁA WOJNA	415
BÓG BIAŁY	431
BÓG CZERWONY	443
NA FALOCHRONIE: II	453

Tytuł:
anhedonia

Copyright © by Arnold Cytrowski, 2024

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Lingua Mortis, 2024

Copyright © for cover illustration by Tomasz Rosoł, 2024

Redakcja: Kalina Jankowska, Sławomir Jarząb

Korekta: Kalina Jankowska, Sławomir Jarząb, Justyna Czuchrij

Ilustracja na okładce: Tomasz Rosoł / www.tomaszrosol.pl

Ilustracje wewnątrz książki: Tomasz Rosoł / www.tomaszrosol.pl

Skład i łamanie: Studio StrefaDTP

ISBN 978-83-972548-4-8

ISBN 978-83-973270-4-7 (e-book)

Wszelkie prawa do polskiego wydania zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wszelkie podobieństwo osób, imion, nazwisk czy sytuacji w powieści jest przypadkowe.

Wydawnictwo Lingua Mortis

LinguaMortis.eu

facebook.com/wydawnictwolinguamortis

instagram.com/linguamortis_ph



arnold cytrowski anhedonia

Artur Król wierzy, że jest wybrany przez Boga lub też że jest przez Boga przeklęty.
Słyszy ludzkie myśli, ale tylko te, które ludzie uznają za złe, małe bądź nikczemne.
Myśli, że coś znaczy w mafijnym świecie, ale tak naprawdę jest tylko pionkiem
na tasce Kolikowskiego.

Witold Przyłbicki jest byłym ubekiem, esbekiem, a obecnym uopkiem.
Nie wierzy w Boga. W ludzi nie wierzy tym bardziej.
Jemu nic się już nie wydaje – dobrze wie, że jest niczym więcej niż pionkiem.

„(...) trafiłem na jeden jedyny trop, który miał sens, a ów trop
nazywa się Artur Król. Ten, który widział tańczącego boga (...)”

W listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego i ósmego roku
dochodzi do morderstwa na tle politycznym. Sprawcę zamachu krajowe
media określają przydomkiem Obrazoburcy.
Witold Przyłbicki zostaje głównym śledczym w tej sprawie,
Artur Król zaś – głównym podejrzanym.

Zapraszam do podróży przez
szalone polskie lata
dziewięćdziesiąte.



www.LinguaMortis.eu



patroni medialni